Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 13. POZNAŃ, DNIA 27. MARCA. **1843.**

POEZYA.

PRZEGLĄD LAT.

Wer den Dichter will verstehen,
Muß in Dichters Lande gehen.
Göthe.

Mroźnego Grudnia dzień ostatni skonał,
Czarna noc grube rozpostarła cienie,
Ani księżyca, ani gwiazd na niebie,
Ciemno, jak w grobie. Śnieżystą zamiec ią
Wiatry hulają. Opodal gdzieś w siole
Pies smętnie wyje, kur zapiał nieśmiało,
Cała przyroda żywa i nieżywa,
Zarówno twardym, zimnym snem zasnęła.
Świat cały, jakby wielka bryła lodu,
Okryta czarnym, nieprzejrzanym cieniem.
Stokroć szczęśliwy! kto wśród takiéj nocy
Razem z przyrodą sercem zlodowaciał;
Kto snem kołysan w objęciach marzenia,
Chwilę wypocznie z życia i cierpienia;
Bo czemże szczęście, jeśli nie marzeniem?
Bo czemże życie, jeśli nie cierpieniem?

Północ wybiła, a z jękiem zegara
Pierwszy dzień roku rozpoczynał życie,
Czuwałem jeszcze wzywając daremnie
Snu, coby skleił zbolałe powieki.
Myśli me wolne powinności trudów
Jak trzoda, kiedy pasterz ją porzuci,
Bujały śmiało po błoniu przeszłości.
Wtém jakaś światłość padła mi na oczy,
Drzwi się rozwarły i oto od progu
Sunie się postać, starzec siwobrody
Z kagankiem w ręku, z brzemieniem na plecach,
Wszedł, oddał pokłon. Z postawy, z odzieży,
Widać dalekie odbywał podróże.
Z kąd jesteś starcze? czyli z ziemi świętéj
Wracasz, grób Pański zwiedziwszy w pokorze?
Czyli do Rzymu odbyłeś pielgrzymkę?
Mów starcze, co cię o téj późnéj porze,
W noc taką ciemną sprowadzać tu może?

Starzec.

Ani ja wracam od Pańskiego grobu
Ani do Rzymu odbyłem pielgrzymkę,
A lubo w prawdzie byłem w ziemi świętéj
I w Rzymie byłem i na całym świecie
Niema kącika, gdziebym nie był znany,
Nie zgadłeś jednak i nie zgadniesz pewnie,
Z kąd dzisiaj wracam, nie poznasz mnie nawet,
Choć mnie znasz dobrze, chociaż imie moje
Z trzystu sześćdziesiąt pięciu słów składane,
Równie i tobie jak innym jest znane.

Ja.

Cóż to jest starcze? czyż po to przychodzisz,
By twemi żarty, twą dziwaczną mową
Mącić mój spokój, wywodzić mnie w pole?
Precz z moich oczu! a jeżeli żądasz
Pod moim dachem przytułku, spoczynku,
Powiedz kto jesteś, z kąd idziesz i poco?

Starzec.

Ni wypoczynku, ani ja przytułku
Żądam od ciebie, kres mojéj podróży
Już nie daleki, odbyłem pielgrzymkę
Po całéj ziemi, któréj byłem panem.
Dzisiaj skończone panowanie moje,
A cała wielkość, cała ma potęga,
Czemże jest dzisiaj?... jedną krótką chwilką,
Tylko ogniwem łańcucha wieczności.
Wracając nazad, tam do wieków grobu
Wstąpiłem, by cię raz jeszcze odwiedzić,
Bo gdy już z siebie postać ziemską zrzucę,
Pewnie do ciebie nigdy nie powrócę.

Ja.

Ja ciebie nie znam, mów jaśniéj, wyraźniéj!

Starzec.

Słuchaj! jest morze wielkie, nieprzejrzane,
To morze ludzie nazywają czasem;
Żeglarz, gdy łódkę odpina od brzegu,
Żeby na fale rzucić się głębokie.
I po nich bujać, i po nich żeglować,
Dopóki jeszcze portu nie daleki,
Śmiało zatapia wiosło w ich kryształy

I coraz śmielszym, coraz prędszym biegiem,
Rad się rozstaje z swym rodzinnym brzegiem;
A każdy bałwan w tył wiosłem popchnięty,
Staje się jemu nieznaczną kropelką,
I z tych kropelek zebranych w pamięci
Składa się życie — aż żeglarz strudzony,
Coraz to słabiéj rozpycha bałwany,
Liczy kropelki, wtém powstaje fala,
Co go wraz z łodzią na dno morza zwala.
Ja byłem takim bałwanem na morzu,
Dziś jestem kroplą dla twojéj pamięci.

Ja.

Ty dla mnie starcze! kroplą, ty bałwanem?
Co tobie w głowie, musisz być szalony!
Wzrok twój zbłąkany, twa zawiła mowa,
Dowodzi zmysłów twoich pomieszania.
Usiądź, wypoczniéj, pójdę zbudzić sługi,
Może ratunek podadzą ci jaki.

Starzec.

Nie odchódź synu! ma zawiła mowa
Wnet tobie będzie jasną, zrozumiałą,
Wzrok mój zmieniony, o kto przeżył tyle,
Kto tyle rozsiał dobrych i złych doli,
Chceszże by jeszcze błyskał młodym wzrokiem?
I na te słowa starzec wstrząsł ramieniem
I płaszcz spadł z ramion, blada starca postać,
Wychudła, wątła, dziwaczne ubranie,
Ślad krwi i kajdan, i łez gorzkich plamy;
Tu kwiatów wieniec, tam znów nie rozwite
Pączki różane, przywiędłe, zgniecione,
I trupiéj czaszki oderwane szczątki,
I czarna puszka z napisem: „pamiątki.“
Wszystko w nieładzie rozrzucił przedemną,
I oto! rzecze, méj godności znaki!...
Jestem przeszłym starym rokiem,
Dzisiaj życie moje kończę.
Nieraz w czasie panowania
Słyszałem ja skargi twoje,
Słyszałem, jak niecierpliwie
Wyglądałeś mego zgonu,
A więc zchodząc dzisiaj z tronu
Wstąpiłem tu po kolendzie.

Ja.

Ha! starcze, jeszcze więc przed samym zgonem
Przychodzisz srodze pastwić się nademną,
Stokroć przeklęty! czyż nie dosyć tobie
Moich łez westchnień, czyż nie miałeś czasu,
Nad twą ofiarą pastwić się do sytu?
Powiedz, gdzie tyle obietnic, nadziei?
Gdzie owe szczęście, spokojność, swoboda,
I owa mądrość, cnota, przyjaciele,
I sława, którąś łudził mnie w początku?
Z wszystkiego czyliż tylko ten szyderczy
Uśmiech pozostał, co twe blade lica
Szatańskim blaskiem pogardy oświeca?
Ha! znam cię teraz, nie puszczę i kroku
Dopóki nie zdasz rachunku przedemną.

Starzec.

Ni twoje groźby, ani twe badania
Wstecz mnie nie cofną, jeżeli rachunku
Żądasz odemnie, patrz z moich obietnic;
I z twych nadziei ten wieniec uwity
Wszak kwitnie dotąd, wszak nie usechł jeszcze!
Z szczęścia twojego łez przystygłych ślady
Zostały tylko. — Spokojność, swoboda
Czeka cię w grobie; patrz, ta czaszka trupia,
Mądrością była kiedyś napełniona,
Cóż z niéj zostało? kawał pruchna, kości
Z przyjaciół, z cnoty i z marzonéj sławy,
Patrz te łańcuchy, ta krew pozostała!
Reszta w téj puszce, klucz od niéj dam tobie,
Ale ci radzę, porzuć klucz ten w morze,
Bo w głąb przeszłości, gdy się wpatrzysz chwilę,
Łez ci nie starczy na pamiątek tyle.

Ja.

Dosyć już tego, przyjmuję twe dary
Ze wszystkich skarbów, które mi zwierzyłeś,
Mam jeszcze jedną dla ciebie kolędę.
W téj oto skrzyni, przez to szkło wypukłe
Zobaczysz szereg moich poprzedników.
Minione lata stawię ci przed oczy;
Nie wachaj się, spojrzyj tylko
Na te przeszłych lat postaci,
A poznasz, że ja nie byłem
Gorszym od mych zmarłych braci.

Spojrzałem przez szkło, starzec raz po razie
Odmieniał szkiełka w Szejne-Katarynce,
Coraz to innném światłem je oświecał,
I cóż, rzekł, widzisz w tym pierwszym obrazie?

Ja.

Widzę kolebkę, zabawki dziecinne
Porozrzucane; na matczyném łonie
Tuli się dziecię. W górze chór młodzieńczy
Koroną szczęścia cały obraz wieńczy.
Więcéj nie widać.

Starzec.

Ha! bo wzrok twój słaby.
Poczekaj, niechaj lepiéj ci oświecę;
Cóż widzisz teraz?

Ja.

Kolebka zniknęła,
A na jéj miejscu krzak ciernia wyrasta,
W miejscu zabawek węże, żmije, gady,
Wiją się sycząc, — dziecie już młodzieńcem,
Odpędza węże, jadu ich się chroni.
Matka ta sama, tylko starsza w lata,
Chce go zasłaniać. — Młodzian ufny w siły
Wyrwał się od niéj. — Z tamtymi na górze
Co nad kolebką koronę trzymali,
Chce coś rozmawiać, chce im wziąść koronę
I sam nią wieńczyć swą młodzieńczą głowę.
Oni znikają, on patrzy za niemi.

Starzec.

Cóż daléj?

Ja.

Na wzburzoném morzu
Chwieje się łodka, młodzian na niéj stoi
I trzyma kruche wiosło w mężnéj dłoni,
Zdala brzeg widać. Na brzegu gromady
Ludzi skupione, a choć różni strojem
I mową różni, zdają się rozumieć
Jedni z drugimi, z pośród nich gromadka
Jedna najmniejsza, ubogo przybrana,
Młodzieniec ku niéj wyciąga ramiona,
Ona go wita, jakby syna, brata.

Starzec.

Cóż daléj?

Ja.

Uspokoiło się morze spienione,
Szumne bałwany rozpierzchły na stronę,
Jedne gdzieś w rzeki wpłynęły szerokie,
Drugie w dno wsiąkły — inne potokami
Sączą się cicho — młodzieniec gdzieś zniknął,
Gromadka, zda się, o nim zapomniała.

Starzec.

Patrz dalej.

Ja.

Aha! tam w jaskini
Brzęczą łańcuchy i słychać westchnienia,
Miałżeby to on brzęczeć łańcuchami?

———

Tu starzec szkiełko przesunął z pośpiechem,
Jedno i drugie i trzecie w połowie,
I nic nie widać, tylko tę jaskinią
I nic nie słychać, tylko te łańcuchy.

Starzec.

Obraz nowy.

Ja.

Wschodzące słońce jaskrawym promieniem
Złoci śliczną okolicę;
W powietrzu pogoda, cisza;
To szczęście wschodzi, młodzieniec już mężem
Błądzi w ogrodzie pomiędzy kwiatami,
Jedne od drugich piękniejsze,
Uszczknął kilka, splata wianek;
Na przeciw niego wychodzi dziewica
Piękna, jak anioł, z dobrocią anioła
Przyjmuje wianek z rąk jego.
A drugi koniec wianka mu podaje.
I tak złączeni, razem przebiegają
Ogród zasiany samemi kwiatami.

———

Cóż powiesz starcze! czyż i te obrazy
Podobne tobie? Spojrzyj na twą postać
Obmierzłą, szpetną; cóż za podobieństwo
Z tém co tu widzę?

Starzec.

Ha! znać żeś człowiekiem;
Mamideł tobie potrzeba, ułudy!
Jam tobie zmierzły, bo mam prawdy szatę,
Tamten na siebie przybrał kwiatu postać
Czekaj, niech prawdy lampą go oświecę
I patrz nań teraz.

Ja.

Wiatr listki rozwiał, zmrok przygasił słońce,
Co pierwéj zeszło tak piękne, tak jasne,
Wianek zaledwo wichrem nie zerwany
Trzyma się jeszcze za obadwa końce.
Ale co były w wianku najpiękniejsze
Drobne kwiateczki, pączki nie rozwite,
Wszystkie opadły — ostre sterczą kolce.
Z całego wianka jeden liść nadziei
Jeszcze gdzie niegdzie błyszczy nie uwiędły.

———

Dosyć już dosyć starcze, schowaj szkiełka,
Bo może byś ty te listki ostatnie
Oberwał z wianka nowemi obrazy,
Czy ty masz starcze i szkiełka przyszłości?

Starzec.

I cóż ci po nich, gdy nie chcesz oglądać?
O znać i z tego, że jesteś człowiekiem;
Chcąc poznać przyszłość, zajrzeć się w nią boisz!
Lecz bądź spokojny, chociaż wiele mogę!
Lubo ci dałem dowody potęgi,
Przyszłość przedemną skryta jak przed tobą.
To, co widziałeś, zachowaj w pamięci,
Memu następcy poprzestań złorzeczyć,
Bo ten, co ciebie i co mnie utworzył,
Naprzód nam metę i koniec położył.

———

Rzekłszy te słowa starzec, płaszcz zawinął,
Zaśmiał się gorzko i w wieczności zginął —
Patrzałem za nim długo, aż o świcie,
Zacząłem z nowym rokiem, nowe życie.

Galicya. *Fr. W.*

Reakcya w Niemczech.

(Ciąg dalszy.)

To rozwiązanie i rozsprzężenie się pozytywizmu jest jedyném możliwém pogodzeniem pozytywizmu znegatywizmem, ponieważ to jest tkwiącym, totalnym ruchem i energią przeciwstajności saméj, a tak każdy inny sposób pogodzenia ich jest samowolnym, a każdy, co inną zgodę zamierza, tém tylko dowodzi, że nie przejął się duchem czasu, i że przeto albo głupim, albo bez szczerego sposobu myślenia jest, ponie-

waż człowiek tylko wtedy pełnym ducha i moralnym nazwać się może, gdy się temu duchowi całkowicie odda, i nim się zupełnie przejmie. Przeciwstajność jest totalną i prawdziwą; na to sami środkujący przystają; jako totalna jest atoli całkiem żywotną, i energia jéj wszystko ogarniającéj żywotności polega właśnie, jakeśmy to co dopiero widzieli, na tém bezustanném paleniu się pozytywizmu w czystym ogniu negatywizmu.

Cóż na to środkujący? — Oni przystają na to wszystko, uznają porówno z nami totalność przeciwstajności, tylko że jéj odejmują jéj ruch, jéj żywotność, jéj całą duszę, czyli raczéj odjąć chcą,—ponieważ żywotność przeciwstajności jest potęgą praktyczną, z ich połowicznemi, bezsilnemi i bezwładnemi duszami niezgodną, lecz właśnie dla tego wyższą nad wszelkie ich usiłowania do jéj przytłumienia. Pozytywne, jakeśmy powiedzieli i dowiedli, samo przez się nie jest uprawnioném;—jest ono tylko o tyle uprawnioném, o ile spokoju negatywności, i jéj zwrotu na siebie zaprzecza,— o ile bezwarunkowo i dzielnie negatywność ze siebie wyklucza, i ją przez to w czynności utrzymuje,—o ile się samo czynném, negatywném staje. Tę czynność zaprzeczania, do któréj pozytywiści nieprzezwyciężoną, we wszystkich żywych naturach niewidzialnie obecną potęgą przeciwstajności partymi są, a która ich jedyne uprawnienie i jedyną cechę ich żywotności stanowi,— właśnie tę czynność zaprzeczania chcą im środkujący zakazać. — W skutek dziwnéj, niepojętéj niedoli, lub raczéj, z całéj do pojęcia łatwéj niedoli swéj praktycznéj bezbarwistości umysłu, swego praktycznego niedołęstwa i niemocy, uznają właśnie to w pozytywistach, co w nich umarłém, zgniłém i tylko zniszczenia godném,—a potępiają to, co ich całą żywotność stanowi:—to jest żywą walkę z negatywizmem, żywą obecność przeciwstajności.

Oni to tak przemawiają do pozytywistów: „Moi Panowie!“ macie racyą, że zgniłe i oschłe zabytki przeszłości zachowujecie; tak się ładnie i miło żyje w tych ruinach, w tym rozsądkowi przeciwnym rokoko-świecie, którego powietrze dla naszych suchotniczych duchów równie zdrowe, jak powietrze po oborach dla ciał suchotniczych; co się nas dotyczy, bylibyśmy się z największém ukontentowaniem w waszym świecie usadowili,—w świecie, gdzie miarą prawdy i świętobliwości nie jest rozsądek i rozsądne postanowienia ludzkiéj woli, lecz długotrwałość, starobyłość i nieruchomość, i gdzie zatém Chiny ze swymi mandarynami i bambusowemi chłostami za absolutną prawdę uważane być muszą! — Ale cóż tu począć, moi Panowie! — Złe czasy, nasi wspólni nieprzyjaciele, negatywiści, bardzo wiele pola zyskali;—nienawidzimy ich równie, a może nawet więcéj jak wy sami, gdyż sobie w swéj wyuzdaności nami pogardzać pozwalają; lecz stali się silnymi, i trzeba *nolens volens* na nich wzgląd mieć, aby nie być do szczętu od nich zniweczonym;— nie bądźcie przecie tak fanatycznymi, moi Panowie,—odstąpcie im małego kącika w swém towarzystwie;— cóż wam na tém zależy, że oni w historyczném muzeum miejsce téj lub owéj, niegdyś wielce czcigodnéj, lecz dziś już zapadłéj ruiny zajmą? Wierzcie nam, że będąc uszczęśliwionymi tym zaszczytem, jaki im przez to wyświadczycie, nieochybnie się w waszém szanowném towarzystwie spokojnie i skromnie zachowają; boć téż to wreszcie tylko młokosy, co biedą i brakiem swobodnego utrzymania rozjątrzeni, tylko dla tego tak krzyczą i szurmują, ponieważ się przez to jakiegoś znaczenia i dogodnego stanowiska w towarzystwie nabyć spodziewają.“

Potém wracają się do negatywistów i tak im prawią: „Wasz cel jest szlachetnym, moi Panowie! Pojmujemy bardzo dobrze wasz młodzieńczy zapał i obstawanie za czystemi principiami, i jak największą dla was uczuwamy sympatyą; ale wierzajcie nam, że czyste principia w swéj czystości nie dadzą się do życia zastósować; do życia niezbędna pewna dozys elektycyzmu;—świat nie da się tak nastroić, jakbyście sobie tego życzyli; trzeba mu téż nieco pofolgować, chcąc na niego działać,—usłuchajcie nas, inaczéj sobie swoje stanowisko w nim zupełnie zepsujecie.“— I jak o polskich Żydach powiadają, że w ostatniéj polskiéj wojnie obu walczącym stronom, tak Polakom jak Moskalom, razem służyć chcieli, za co ich obustronnie wieszano,—tak się i ci mizeracy mozolą niepodobnym do uskutecznienia trudem zewnętrznego połączenia negatywistów z pozytywistami, za co w podziękowaniu wzgardę obu stron odnoszą. — Szkoda tylko, że czas teraźniejszy za słaby i za mało energiczny, aby na nich prawo Solonowe wymierzyć!

To czcze frazesy, odrzekną mi na to; środkujący są po większéj części czcigodnymi i naukowo wykształconymi ludźmi;—bardzo wielu z pomiędzy nich cieszy się powszechnym szacunkiem i piastuje wysokie godności, a pan ich za ludzi bez rozpoznania i bez barwy umysłowéj wystawiasz! — Lecz cóż ja temu winien, kiedy tak jest rzeczywiście? — Nie chcę ja nikogo osobiście zaczepiać;—wewnętrzność osoby jest dla mnie nietykalną świętobliwością, o któréj sobie nigdy nie pozwolę sądzić; ta wewnętrzność może dla osoby samej nieskończoną mieć wartość; lecz dla świata, w rzeczywistości istnieje tylko o tyle, o ile się obja-

wia, i tylko taką, jaką się objawia;—każdy człowiek jest rzeczywiście tylko tém, czém w rzeczywistym świecie jest; a co czarne przecież niepodobno, abym to białem nazywał.

Tak, odpowiedzą na to, tobie się zdaje, że ich dążność jest czarną, czyli raczéj szarą;—w rzeczy samėj atoli pragną oni postępu i zamierzają go, i przykładają się daleko więcéj do niego jak ty sam, poczynając sobie roztropnie i rozważnie, a nie chcąc tak, jak demokraci, po junacku całego świata rozwalać. — Aleć poznaliśmy się na tém, co ten tak mniemany, przez środkujących zamierzany postęp znaczy; wszakże widzieliśmy, że właściwie niczego innego nie pragną, jak tylko przytłumienia jedynego żywotnego principium w naszéj z resztą tak biednéj teraźniejszości; przytłumienia twórczego i przyszłością ciężarnego principium, zasadzającego się na obalającym ruchu; poznają oni to tak dobrze, jak i my, że nasz czas jest czasem walki, przeciwstajności;—przyznają nam, że to jest stan zły, sam w sobie rozpadły, rozerwany,—lecz zamiast go dokończeniem walki w nową, affirmatywną i organiczną rzeczywistość przemienić, pragną go owszem, ten w swém obecném istnieniu tak nędzny suchotniczy stan nieskończoną powolnością na wieki utrzymać. — Czyż to postęp? —Pozytywistom powiadają: „utrzymujcie stare, lecz zarazem pozwólcie też negatywistom z wolna i z lekka je oddalać;" a negatywistom: „usuwajcie co starego, tylko nie na raz i nie do szczętu, abyście zawsze mieli co czynić; to jest, zostawajcie każdy w swéj jednostronności; my zaś, my wybrani, zachowamy użycie totalności dla siebie;" mizerna totalność, którą się tylko mizerne duchy zadowolnić mogą! Ogołacają oni przeciwstajność z jéj poruszającéj, praktycznéj duszy, i cieszą się, że nią samowolnie trząsać mogą; dzisiejsza wielka przeciwstajność nie jest dla nich żadną praktyczną potęgą teraźniejszości, któréj się każdy żywotny człowiek oddać powinien, chcąc żywotnym pozostać, ale tylko teoretyczną igraszką.—Nie są oni praktycznym duchem czasu przejęci, i dla tego też są ludźmi niemoralnymi; tak oni, co się tyle ze swéj moralności chełpią, są niemoralnymi, ponieważ moralność za obrębem jedynie zbawiającego Kościoła wolnéj ludzkości istnieć nie może. Im to trzeba powtórzyć, co autor apokalipsy do środkujących swego czasu powiada:

„Znam uczynki twoje, żeś nie jest ani zimny, ani gorący! bodajżeś był zimny, albo gorący!"

„A tak, ponieważeś letny, a ani zimny, ani gorący, wyrzucę cię z ust moich."

„Albowiem mówisz: jestem bogaty i zbogaciłem się, a niczego nie potrzebuję; a nie wiesz, żeś ty biedny i mizerny, i ubogi, i ślepy, i nagi."

Ale, odpowiedzą mi, nie wracaszże się ze swemi czysto odrębnie uważanemi extremami do abstrakcyjnego, już dawno przez Szellinga i Hegla pokonanego stanowiska? — Czyż to nie ten sam Hegel, którego tak wysoce szacujesz; czyż to nie on to wcale prawdozgodne dostrzeżenie objawił, że w czystém świetle równie nic się nie widzi, jak w czystéj ciemności, i że dopiero zrosła, przesiąkła jedność, obu widzenie podobném czyni; —i nie jestże właśnie to wielką zasługą Hegla, że dowiódł, jak każda żywotna exystencya tylko przez to jest żywotną, iż swego przeciwnika, swoją negacyą, nie zewnątrz siebie, lecz w saméj sobie jako wrodzony warunek życia swego ma; i iżby, gdyby tylko pozytywną będąc, negacyą zewnątrz siebie miała, bezruchomą i bezżywotną była? — Wiem ja o tém bardzo dobrze, moi Panowie! — Przyznaję wam to, że organizm żywotny na przykład tylko przez to jest żywotnym, że zaród swéj śmierci w sobie nosi; — ale kiedyć mi Hegla cytujecie, cytujcież go w zupełności, a nie ułamkowo; — a przekonacie się wtedy, że negatywność dopóty tylko jest warunkiem życia tego pewnego organizmu, dopóki w nim jest momentem jego totalności;—lecz że istnieje punkt taki, w którym powolna działalność negatywności nagle się urywa, tak że taż negatywność w samoistne principium przechodzi; i że ta chwila jest śmiercią tego pewnego organizmu, moment, który w Heglowéj filozofii jako przejście natury w jakościowo nowy świat, t. j. w wolny świ[at] ducha, oznaczonym jest.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

O własności.

(*Ciąg dalszy.*)

Więc urządzenie interessu pojedyńczego, jest rzeczywistem ukształtowaniem idei interessu powszechnego. Więc wszystko, co nosi tę cechę, jest rzeczą konieczną. A w takiém tylko przypuszczeniu niebyłoby rzeczą konieczną, gdyby interes powszechny był czystą abstrakcyą, uprzedmiotować się nie zdolną; — to jest, gdyby interes pojedyńczy nie miał syntezy; — to jest, gdyby indywidualność była wprost przeciwna zbiorowemu życiu; — to jest, gdyby utwór człowieka nie miał w sobie zarodu społeczności. Więc ktoby twier-

dził, że własność nie jest rzeczą konieczną, musiałby przyjąć zasadę, że człowiek nie jest istotą spółeczną. To ostateczna konsekwencya przypuszczenia, że urządzenie, a tém samém uświęcenie interessu pojedyńczego nie jest rzeczą konieczną, które to przypuszczenie, naturalnie się mieści w mniemaniu, że własność nie jest rzeczą konieczną, bo ta jest właśnie urządzeniem, a tém samém uświęceniem interessu pojedyńczego. A na wspak biorąc to całe rozumowanie w sposób twierdzący i organiczny: Człowiek jest istotą spółeczną na mocy swojego utworu; — ztąd indywidualność człowieka, ani jéj wyrażenie interes pojedyńczy, nie mogą być przeciwne zbiorowemu życiu; — ztąd interes pojedyńczy musi mieć swoją syntezę rzeczywiście istniejącą i uprzedmiotowaną; przez urządzenie, a tém samém uświęcenie interessu pojedyńczego. — Wszystko więc, cokolwiek jest urządzeniem w spółeczny porządek interessu pojedyńczego, jest rzeczą konieczną, a przeto własność jest rzeczą konieczną, ponieważ odpowiada zupełnie tym cechom, ponieważ jest rzeczywistém wyrażeniem idei interessu powszechnego przez urządzenie interessu pojedyńczego.

§. 5.

Pojmowanie objawiającego się w każdéj chwili processu różnych momentów postępu.

Słów kilka, które temu poświęcimy, są uzupełnieniem nieodzownem pojmowania sprawiedliwości jako idei jednéj niedopuszczającéj ujemno-dodatniéj dwoistości.

Skoro nam znika wyobrażenie walki dwóch sprzecznych żywiołów w ukształtowaniu stósunków społecznych (i we wszelkim postępie), skoro wszystko doprowadzone zostaje ostatecznie do idei jednéj, musimy znaleść w téj idei jednéj wytłumaczenie zjawisk powszechnych, każdemu danemu momentowi towarzyszących. Inaczéj idea nie byłaby zasadniczą. A takiém zjawiskiem powszechném jest rozdział ludzi, wyrażający się w kształcie walki pomiędzy niemi jawnéj i widocznéj, w każdym niemal danym momencie społecznego układu ludzkości. Bo każdy dany moment wśród walki takiéj powstał, i przez taką walkę postęp następnych przygotowywa. To dawało powód wyobrażeniu dwóch idei sprzecznych, co przecież niczém innem nie jest, jak środkiem, przez który rozwija się idea jedna.

Każdy dany moment wszelkiego postępu jest przyszłością względem poprzedzających, przeszłością względem następnych. Wyrazów więc tych używamy nie tylko jako stopniowanie czasu, lecz także jako stopniowanie postępu.

Postęp nie idzie tak jak czas jednostajnie i razem dla całego rodu ludzkiego. Dany moment w czasie przedstawia nam różne momenta postępu, które się napotykają w teraźniejszości. Stawają więc wobec siebie i mięszają się, przeszłość i przyszłość postępu; nie tak jak przeszłość i przyszłość czasu, które są niewątpliwie rozdzielone teraźniejszością.

Koniecznym wypływem utworu człowieka, jest, że nie może ród ludzki jednostajnie i razem odbywać drogi w postępie, jak odbywa ją w czasie; ztąd w każdéj danéj chwili różne momenta postępu objawiać się muszą.

Spółeczność ludzka jest syntezą, nie zaś przeczeniem indywidualności. Ta więc (indywidualność) objawia się zawsze i wszędzie przez samodzielne życie duchowe.

Więc człowiek samodzielnie żyje czyli postępuje. Więc na drodze koniecznéj postępu jeden drugiego wyprzedza. Więc w każdéj danéj chwili różne momenta postępu objawiać się muszą; — a to jest następstwem niepochybném indywidualności człowieka, czyli następstwem niepochybném jego utworu. A niepodobna pomyśleć takiéj chwili w ludzkości, w któréjby pomiędzy ludźmi panował jednostajny symetryczny postęp, tak, iżby go żaden człowiek nie wyprzedził, ani żaden przez niego wyminięty został; tak, iżby ludzie do jednego mianownika niejako doprowadzeni, przerobieni na duchową mechanikę, odbywali swój postęp podług jednéj stałéj dla wszystkich i niezmiennéj formułki. Jakiżby był cel indywidualności w takiém przypuszczeniu, w którémby liczbą tylko rozróżniać się mogła? A raczéj nie byłaby indywidualności, czyli każdego człowieka właściwości, jak jedna tylko i zupełnie ta sama istota wielokrotnie odbita i powtarzana jakoby wielokrotném zwierciadłem; mnogość bez celu; powtarzanie zupełnie zbyteczne człowieka stwórcy, który w każdém swojém indywiduum cechę tworzenia samo-dzielnego mieć musi, aby stał się cząstką składową powszechnego bytu. Wszelkie więc mniemanie, założeniu naszemu przeciwne, musiałoby ostatecznie doprowadzić do zaprzeczenia indywidualności duchowéj człowieka, czyli do zupełnego nieuznania utworu człowieka.

A teraz rozważmy następstwa niepochybne, koniecznego stawania w obec siebie różnych momentów postępu; z tąd wyprowadzić chcemy istotne znaczenie walki przeszłości z przyszłością; niesprawiedliwości ze sprawiedliwością.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kilka myśli nad małżeństwem i prawodawstwem rozwodowém.

(Dalszy ciąg.)

Puchta uważa w małżeństwie czysto subjektywną dowolność, którą nazywa momentem prywatnym; dalej stósunek do państwa, i nareszcie do religii. Dla tego nazywa całą ową samowolę i swawolę z licznym orszakiem wszelkich przypadkowości, zmian humoru, owego antychrysta, rozburzającego jedność małżeńską momentem prywatnym, że owa przypadkowość czysto subjektywna powstaje z stósunku małżonków, jako osób prywatnych do siebie. Gdyby nie stósunek do państwa i do religii, w który małżonkowie wchodzą, nie miałoby małżeństwo samo w sobie żadnéj pewności bytu, tylko wzgląd na korzyści państwa i na świętość religii nadaje mu całą szczytność. Ta jest myśl Puchty. Z tych trzech wymienionych ingredyencyi konstruuje on ideą małżeństwa. Ale na nieszczęście ta massa utworzona wszystkiém innem będzie, tylko nie ideą, chyba ironią idei, parodyą na prawdziwą ideą. Idea musi miéć sama w sobie siły żywotnie, a w idei Puchty tylko stósunkowość do państwa i do religii nadaje charakter małżeństwu. Stósunek małżonków do siebie jest czémś czysto subjektywném, nie mającém w sobie żadnéj objektywnéj pewności. Z pojęcia prawdziwego małżeństwa wypływa, że owa pewność, owo zniszczenie wszelkiéj dowolnéj samowoli zależy jedynie na stósunku małżonków do siebie. Nie stósunek do państwa, ani też religii, wynosi ową przypadkowość do godności idei, bo ona sama przez się i sama w sobie bez stósunkowości wszelkiéj ma punkt centralny, punkt oparcia; gdyż życie jéj organiczne nie jest nadane przez stósunek do państwa, ani stósunek do religii, ale wprost przeciwnie ono stawia się własną swą żywotną potęgą w stósunek do państwa i do kościoła. Z tąd zaś powstał ten chaos myśli, że Puchta nieopatrzony bussolą spekulatywną, ażeby mógł bezpiecznie żeglować po wielkim oceanie filozoficznym, puścił się nań tylko wiadomościami historycznych pojawów małżeństwa opatrzony, które wziął za momenta idei saméj w jéj organicznem życiu. Ponieważ zaś Puchta w ten błąd sam nie wiedząc popadł, przeto powiedział nam, gdzie mamy małżeństwa szukać, ale nie co ono jest; powiedział tylko, że wchodzi w stósunek do państwa i do religii. Każda idea jako rozwijająca się sama z siebie, rozwija się i dla siebie, czyli jest sama sobie celem. Tak też i małżeństwo nie ma celu z zewnątrz swego organizmu, ale samo w sobie. Niektórzy szukają celu w płodzeniu dzieci; wniosek można z tego bardzo łatwy zrobić, a więc małżeństwa bezdzietnie nie są małżeństwami, jako nieosięgające swego celu, i tym sposobem znegować wszelką świętość, szczytność małżeństwa.

To samo grube pojęcie znajduje się także w Landrechcie pruskiém, jak to niżéj okażemy. Ale małżeństwo, chociaż samo sobie jest celem i nieopiera się na czémś innem, ani na państwie, ani na religii; chociaż nie jest trabantem państwa, jak są trabanty słońca; wchodzi jednakżeż w stósunek do państwa i do religii. Do państwa dla tego, że ono wspiera swą budowę na familii i małżeństwie, bo państwo jest rozwinięciem tego *explicite*, co się znajduje w małżeństwie i familii *implicite*. Do religii, bo człowiek nie jest tylko żywym członkiem w organizmie państwa, ale i żywym członkiem kościoła. Z stósunkowości do państwa wypływa prawodawstwo, sankcya prawnicza; z stósunku do kościoła sankcya kościelna, pobłogosławienie małżeństw, i poprzysiężenie sobie wzajemnéj wierności w obliczu samego Boga. Przejdźmy teraz po teoretyczném rozwinięciu małżeństwa do historycznych pojawów. Trzy się główne okazały charaktery. W prawie dawnych Rzymian występuje małżeństwo jako w sobie całkiem jeszcze niepewne, bo nie może stać własną mocą, tylko wzgląd na korzyści państwa je utrzymuje i ożywia. Na tém stanowisku znegowano w prawdzie wszelką subjektywną dowolność, ale nie dla tego, że to wypływa z pojęcia idei, ale dla tego, że państwo przez to korzyść odnosi. Małżeństwo jest jak każda inna publiczna korporacya, różni się od innych tém tylko, że się składa z dwóch osób, a inne z więcéj, a więc tylko formą. W nowszém prawie rzymskiém jest małżeństwo jeszcze bardziéj omdlałe samo w sobie, zależy całkiem od roli małżonków. Wolno kojarzyć nowe, a rozrywać dawne stósunki małżeńskie. Ale nie tylko wola obydwóch razem, nawet wola jednego tylko małżonka może je niszczyć. W historyi występuje często ekstrem po ekstremie, wtenczas powstaje walka, jeden ekstrem jakoby biegun północny ciągnie na północ, drugi jakoby biegun południowy na południe. Dalsze rozwinięcie historyi odbywa się w takim razie przez złagodzenie, złączenie dwóch przeciwnych sobie wątków myśli ducha historycznego. Jako *antipodus* tych obydwóch rozwiniętych kierunków powstało prawo kanoniczne. Jako teorya idei małżeństwa miałoby było prawo to wielką zasługę, jako takie, które znegowało wszelką dowolność, czasowość i pojęło wiecznotrwałość małżeństwa. Ale prawo kanoniczne nie chciało i nie miało być

teoryą, dla tego postawiło się surowością swoją do wolności osobistéj małżonków w stósunek nieprzyjazny, krępujący ich osobistość. Owo główne pryncypium: „Co Bóg złączył, tego człowiek rozłączyć nie może,“ które tak konsekwentnie przeprowadzono, jak się dało, sprowadziło w małżeństwa, które się w sobie już zużyły, nieszczęście i niewolą. A to dla tego, że lubo można np. dwa kawały drzewa, które się rozpękły, obręczą żelazną na nowo spoić, to przecieć niepodobną jest rzeczą, chcieć tam, gdzie się organiczne życie samo w sobie już rozpadło, nie jako obręczą prawną organizm zniszczony na nowo złączyć i utrzymywać. Skoro rak z tego zaczął się toczyć, skoro żywotnie siły, utrzymujące małżeństwo, zatrute zostały, natenczas obowiązkiem jest państwa, to co się w sobie *de facto* rozpadło, także i *de jure* rozłączyć. Prawodawstwo powinno wychodzić z pojęcia szczytnego idei, ale niezapominać, że małżeństwo w anielskiéj czystości jest tylko w idei, i że w towarzystwie ludzkiém zdarzają się często małżeństwa złe, powinno zatem teoretycznie uznać wiecznotrwałość, ale niewzbraniać rozwodu tam, gdzie są koniecznemi. Wolność osobista i wiecznotrwałość małżeństwa są te dwie potęgi, na których wzrastać powinno wszelkie prawo rozwodowe. W późniejszych prawach żadna pewna nie występuje tendencya, mniéj lub więcéj przyjęto pryncypia kanonistów. Co się dotyczy pruskiego Landrechtu, to i ono jest modyfikacyą prawa kanonicznego.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Doniesienia literackie.

Łużysko-serbskiéj Jutrzenki (Juťniczka), wydawanéj przez JP. Jordana, wyszedł zeszyt drugi. Zawiera: 1) *Ewangelske serbske spéwanske knihe* (śpiewniki dla użytku łużysko-serbskich Ewangielików.) 2) *Jarosław*; tłómaczenie z czeskiego rękopisu królodworskiego, przez Łużana. 3) *Serbske towarstwo Budeske a jeho knihownja* (Towarzystwo łużysko-serbskie w Budyszynie i jego księgozbiór). „Zdaje się niejednemu,“ mówi autór artykułu, „jakoby my Serbowie łużyscy, z pomiędzy wszystkich Słowian najnieszczęśliwsi, i los nasz był najsmutniejszy, ponieważ liczba naszych Serbów dzień w dzień się zmniejsza, i ponieważeśmy oddaleni od swoich współbraci słowiańskich. Prawda, że niejeden zaczyna zapierać się swojéj serbskości, chociaż to najniesłuszniéj . . . Ale czy to prawda, żeśmy istotnie oddaleni od drugich Słowian? Długo ci istotnie nie znali nas wcale, ani się o nas troszczéć mogli, albo jeżeli kiedyś zasłyszeli o Serbach łużyskich, to poczytywali ich tylko za godnych politowania, za szczątki i niedobitki narodu słowiańskiego, coraz bardziéj niknące. Lecz otóż bracia, Bogu się jeszcze niepodoba, żebyśmy Serbowie zginęli, a nasza narodowość upadła. On bowiem, jak w serca wszystkich Słowian, tak i w nasze wszczepił gorliwą, niezgasłą i niewykorzenioną miłość narodowości naszéj. A tak się stało, iż postanowiliśmy założyć w Budyszynie towarzystwo serbskie, aby dla naszéj pięknéj Łużycy przysposabiać mężów, którzyby nie tylko w łacinie i greczyznie i t. p. byli wyuczonymi, lecz téż w swojéj wydoskonalili się serbskości. Tym więc sposobem zamysł uskutecznionym został r. 1839., a pierwszego Maja t. r. pierwsze posiedzenie odbywało się pod przewodnictwem Kłosopolskiego. Z początku zdawało się, jakoby starania nasze dla wielu przeszkód daremnémi były. Ale za pomocą bożą wszystko nam się powiodło, a wnet Towarzystwo serbskie wielu pozyskało przyjaciół. O takowém zjednoczeniu się naszém, celem pracowania w języku ojczystym i w innych narzeczach słowiańskich, dowiedzieli się téż i nasi współbracia słowiańscy. A byliż oni obojętni na to? Nie. Cieszyli się owszem z tego, iż w Sersce łużyskiéj jeszcze żyje duch narodowy; że Serska ma téż synów krzątających się około wzniesienia matki swéj. . . . Dwa razy na tydzień zgromadzamy się . . . . Za pomocą bożą, stojąc o cześć narodowości swojéj, starać się będziemy o to, aby się radość naszych wiernych i szczérych braci nie zamieniła w żałobę. Upodobanie swoje z niewygasłéj serbskości, mianowicie bliższi nasi bracia słowiańscy, pokazywali w wspieraniu usiłowań naszych, przysyłając nam książki, tak iż nie trudno nam zapoznać się ze czeszczyzną, polszczyzną, rusczyzną i iliro-serbszczyzną.“ . . . Następuje spis książek (przeszło 400) składających księgozbiór budyszyński; między innémi w języku górno-łużysko-serbskim 18 treści nabożnéj dla użytku Protestantów, 2 dla użytku Katolików, 15 kazań, 12 zawierających śpiéwy nabożne, 10 rozmaitych poezyj i t. p. 4) *Serbske pomenowanja néktorych zelow a sztomow* przez J. E. Smolerja (Serbskie nazwy niektórych ziół i drzew). 5) *Serbski słownik.* Wydawca Jutrzenki, Jordan, podaje dobry i łatwy sposób ułożenia słownika górno-serbsko-niemieckiego w razie zjednoczenia się na ten cel członków towarzystw serbskich w Lipsku i Budyszynie, oraz wszystkich prawych synów Serski. 6) *Némsko-serbski słowniczk.* (Słowniczek niemiecko-sérbski.) Wiadomość o Słowniku kieszonkowym niemiecko- górno-łużysko-) serbskim, ułożonym przez J. E. Smolerja, którego druk wkrótce ukończonym zostanie. 7) *Rozmaitości.*

Pieśni łużysko-serbskich, zebranych przez Smolerja, wyszedł zeszyt 4. i 5. Zawierają: 1) *Kwasne spjewy* (pieśni weselne). Nro. 256—276. Ostatnia piosnka weselna składa się z 160 wierszy. 2) *Stonanje* (pieśni kolędowe) Nro. 277—279. 3) *Podkhyrluszki* (Legendy) 280—294 4) *Dodatek*, obejmujący pieśni ludu rozmaitéj treści, podczas druku ponadsyłane. Nro. 295—331. Następują objaśnienia pieśni, co do języka, nazwisk i szczególniejszych w nich zachodzących osobliwości. W końcu dołączone są pieśni ludu pobratymczego, niemieckiego, szwedzkiego i t. d., mające wiele podobieństwa z łużysko serbskiemi. Rzecz zastanowienia godna, iż ludy, choć różnego rodu, jednakowoż pod wielu względami jednymże tchną duchem, i jedne, a te same objawiają uczucia.

Ogłoszono subskrypcyą na *Słownik górno-łużysko-niemiecki*, ułożony przez ś. p. ks. Lubeńskiego, poprawiony i pomnożony przez księży Seilera i Kiliana.